Nro 22.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 21 października 1847. Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 zlr. 15 kr.; całorocznie 10 zlr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 7 października 1847.

Stroje damskie. Chociaż bardzo posunęliśmy się już ku jesieni, piękna pogoda jednak, jaką tu temi czasy mamy, pozwala nam mówić jeszcze o modach letnich, jakich dosyć jeszcze spostrzegać można w głównych składach strojów eleganckich, a z których wymienimy następujące:

Kapelusz z włoskiej słomki, przystrojony ptakiem rajskim i wstążką słomianego koloru; kapelusz od rannego wyjścia z przezroczystej słomki, białym grodenaplem podszyty, pod spodem białym tiulem i polnemi maczkami, a po wierzchu białą kitajką, w drobne ząbki wycinaną, ubrany. Z różowego tiulu kapotka, pod spodem białym tiulem w rurki układanym ubrana, przystrojona pączkami róży, na wierzchu i pod spodem. Biała grodenaplowa kapotka, przystrojona gałązką pąsowej akacii z liśćmi, pod spodem białym tiulem i pączkami akacii ubrana.

Stroje od wyjścia: Suknia z błękitnego atłasu, z gładką spodnicą, z gładkim i wysokim stanikiem i z gładkiemi rękawami; narzutka z granatowego axamitu, niezszywana na plecach, obłożona wkoło futerkiem, z długiemi rękawami, które są także futerkiem obłożone i białą kitajką podszyte; żółty axamitny kapelusz, żółtym atłasem i dwoma piórami ubrany.

Suknia z jedwabnej materii w żółte i brunatne pasy, z gładką spodnicą, z wysoko zachodzącym i kończastym stanikiem i z gładkiemi rękawami; płaszczyk z zielonej kitajki, nie zszywany na ramionach, zaokrąglony z przodu, a wkoło w zęby wycinany i krepiną obszywany; żółty krepowy kapelusz z okrągłą kanią, pod spodem tiulem białym, a na wierzchu długiem piórem, w połowie liliowem a w w połowie zielonem ubrany.

Suknia z materii mienionej, błękitne z białem, ubrana z przodu w kształcie fartuszka rurkowanemi szlarkami z tej samej co suknia materii; stanik marszczony, wysoko zachodzący i otwarty z przodu; rękawy długie; muszlinowy marszczony kołnierzyk; kapotka z żółtej kitajki, gałązką akacii ubrana.

Suknia z *poult de soie*, z gładkim i wysokim stanikiem, prawie całkiem zakrytym okrągłą pelerynką; muszlinowy kołnierzyk z wyłożonym kołnierzykiem; płaszczyk z czarnego *poult de soie;* krepowy kapelusz kwiatami ubrany.

Strój balowy: Suknia z włoskiej białego koloru kitajki, trzy razy szerokiemi w zęby wycinanemi szlarkami obszyta; stanik gładki, wycięty; rękawy krótkie: we włosach wieniec z róż.

Stroje męskie. Paletoty noszą z długiemi stanami, z wykładanemi kołnierzami i szerokiemi wyłogami; szew idzie przez środek pleców, a fałdy są po obu bokach; patki przy kieszeniach powinny być tak krajane, aby dochodziły do połowy połów.

W kroju spodni niema żadnej zmiany; na to tylko zwracamy uwagę, że kraty i pasy na materiach nie są tak duże jak dawniej.

Kamizelki jedne robią zapinane aż pod szyję, drugie wykładane; te ostatnie są zwykle ukośno krajane.

Rycina przedstawia: Atłasowy kapelusz, gałązką strzępiatą ubrany, pod kanią żadnego ubrania; suknia liliowego koloru, z gładkim i kończastym stanikiem, z gładką spodnicą. Płaszczyk rańtuchowym sposobem, z czarnego axamitu, całkiem nowym i bardzo ładnym krojem, z kołnierzem podobnym do pelerynki i z ukrytemi rękawami; wkoło obszywany krepinami i frędzlą wysoko wiązaną.

Suknia z lewantyny w atłasowe pasy; stanik gładki i wysoki. Płaszcz z gładkiego kaszmiru, krojem średniego wieku, który podobny jest do płaszczyka zapiętego z gładkim stanikiem, obszyty jest frędzlą i rulonami atłasowemi. Kapelusz atłasowy, czaplem piórem ubrany.

XIĘŻNICZKA MERY.

(*Ciąg dalszy.*)

---

30. maja.

Przechadzałem się po wałach około godziny dziewiątej. Był tam Grusznicz, a skoro mię mógł spostrzedz, podbiegł ku mnie natychmiast w uniesieniach prawdziwie śmiesznych, ścisnął silnie dłoń moję i zawołał:

— »Tysiączne dzięki, Adamie kochany, wszak mię rozumiesz?....«

— »Ani odrobinkę« odparłem z flegmą »nie wiem, czem zasłużyłem na twoję wdzięczność, bo nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek wyświadczył tobie choćby najmniejszą przysługę.«

— »Jakto? a wczoraj?.... Czyś mógł tak prędko zapomnieć? Mery rozpowiedziała mi wszystko.«

— »A to wyśmienicie! więc tedy między wami wszystko już jest wspólne, nawet wdzięczność.«

— »Posłuchaj mię« przemówił z miną uroczystą »nie igraj sobie z moją miłością, jeżeli cenisz przyjaźń moję. Bo widzisz, ja ją kocham, kocham ją do szaleństwa, i zdaje mi się, tuszę sobie, że nie jestem jej obojętnym. Będziesz u nich dziś wieczór, proszę cię bardzo, abyś uważał pilnie co się tam dziać będzie; jesteś doświadczeńszym w tego rodzaju interesach, i znasz lepiej odemnie kobiety. O kobiety! kobiety! ktoż kiedy was zrozumie? wasze uśmiechy kłamią spojrzeniom waszym, wasze słówka obiecują i wabią, podczas gdy dźwięk głosu waszego odpycha.... Czasem odgadujecie w jednej sekundzie najskrytsze myśli, to znów nie chcecie zrozumieć najwyraźniejszych zastosowań. Taką jest xiężniczka Mery; wczoraj gdy patrzała na mnie, najognistsza namiętność ożywiała jej oczy, dziś one są obojętne, jak lód zimne.«

— »Może to jest skutek tutejszych wód« odrzekłem z doktorską powagą.

— »Ty we wszystkiem widzisz tylko brzydką stronę rzeczy.... ty zabity materialisto!....« wygłosił z pogardą »alež nie mówmy o tem.«

I zadowolony z tego co powiedział, stał się nadmiar wesołym i gadatliwym. O dziewiątej udaliśmy się razem do xiężnej. Przechodząc koło pomieszkania Olgi, spostrzegłem ją w oknie. Spojrzeliśmy nieznacznie ku sobie i wkrótce ukazała się ona w salonie xiężnej, która wzięła sobie za obowiązek przedstawić mię swojej kuzynce. Nadeszło wiele gości, dano herbatę, rozmowa stała się powszechną; usiłowałem przypodobać się xiężnej, która lubi wesołe opowiadania i żarciki, śmiała się też serdecznie; córka jej radaby była toż samo uczynić, lecz wstrzymywała się, niechcąc porzucić postawy tęsknej, omdlewającej, którą przybrała sądząc, i słusznie jak mi się zdaje, że jej z tem było do twarzy.

Grusznicz wyglądał bardzo zadowolony z tego, że xiężniczka opierała się wesołości mojej. Po herbacie przeszli wszyscy do salonu.

— »Czyś zadowolona z mojego posłuszeństwa« szepnąłem Oldze w przechodzie.

Ona za całą odpowiedź rzuciła na mnie spojrzenie, które wyrażało najwyższą miłość i wdzięczność.

Przyzwyczajony jestem do podobnych spojrzeń, nie przyniosły mi one szczęścia. Xiężna zasadziła swą córkę do fortepianu; proszono ją aby spiewała, ja nie odważyłem się z roztropności, a korzystając z chwilowego zamieszania, zbliżyłem się do Olgi stojącej we framudze okna, zdawała się mieć coś bardzo ważnego do powierzenia mi.... Wszystkie te jej wielkie sekreta były zawsze tylko same banialuki.

Zdało mi się, że obojętność moja obrażała wielce młodą xiężniczkę. Spojrzenia jej były gniewne, rozjątrzone. Oh! rozumiem doskonale, moja piękna, tę mowę niemą, wyrazistą, krótką a silną. Mery ma głos dość miły; ale źle spiewa. Zresztą nie słuchałem jej wcale. Co się tyczy Grusznicza, pożerał on ją oczyma i powtarzał od chwili do chwili: »Cudownie! bosko!«

— »Słuchaj« rzekła do mnie Olga »nie chcę, abyś się poznał z moim mężem; ale potrzeba koniecznie, abyś się xiężniczce przypodobał. To ci przyjdzie z łatwością; ty zdołasz wszystko co chcesz, a widzieć się z sobą nie możemy jak tylko tutaj....«

— »Tutaj tylko?....«

— »Jestem twoją niewolnicą, ty wiesz o tem; nie umiałam nigdy opierać się tobie, i będę za to ukarana srogo, bo ty przestaniesz mię kochać!.... Pragnę przynajmniej zachować pozory; nie dla siebie samej, ty wiesz o tem dobrze.... Oh! błagam cię, nie dręcz mię jak niegdyś, przez próżne powątpiewania i przybraną obojętność. Ja wkrótce

umrę; czuję jak z dniem każdym niknie we mnie życie ziemskie, a jednak nie mogę myśleć o życiu innem; nie mogę myśleć jak tylko o tobie.... O wy tego nie możecie pojąć, wy mężczyźni, ile zawiera się dla nas słodyczy w jednem spojrzeniu, w jednem ściśnieniu ręki .. przysięgam ci, że za każdą razą, gdy usłyszę dźwięk głosu twojego, doznaję tak głębokiego, tak niepojętego szczęścia, że najognistsze pocałunki nie zdołają mu nigdy wyrównać.«

Xiężniczka Mery skończyła spiew, szmer pochwał wzniósł się koło niej. Zbliżyłem się ostatni i dość niebbale powiedziałem jej jakąś grzecznostkę na pochwalę jej głosu. Odpowiedziała mi grymasem, wysuwając niższą wargę w sposób wielce ironiczny:

— »Tem pochlebniejsze są dla mnie pochwały pana, że nie słuchałeś wcale mojego spiewu« rzekła po chwili »ale pan może nie lubisz muzyki?«

— »O i owszem, szczególniej po obiedzie.«

— »Grusznicz miał więc słuszność gdy mówił, że pan masz najprozaiczniejsze gusta. A więc tylko przez względy gastronomiczne podoba się panu muzyka?«

— »Mylisz się pani; nie jestem gastronomem, ponieważ mam bardzo słabe siły trawienia. Ale muzyka usypia, a zdrowo jest spać po obiedzie. Tak więc widzisz pani, że lubię muzykę przez względy hygieniczne. Wieczorem, przeciwnie, wzrusza ona zanadto nerwy, czyni nas smutnymi lub nadmiar wesołymi; smutek zaś w towarzystwie jest śmieszny, a zbyteczna wesołość bardzo nieprzyzwoita.«

Nie czekała końca mojej długiej perory, poszła usiąść przy Gruszniczu, który wnet rozpoczął bardzo sentymentalną konwersacią. Zdało mi się dostrzegać, iż xiężniczka odpowiadała na jego szumne frazesy z roztargnieniem i niewielce stosownie, udawając jednak, że go słucha z uwagą, by tem lepiej ukryć pomieszanie swoje.

— »Zważ dobrze, powabna xiężniczko, żem cię doskonale odgadł. Chcesz mi odpłacić własną monetą moją i dotknąć moję miłość własną. O! to ci się nie uda, a jeżeli wypowiesz mi wojnę, nie będę miał miłosierdzia!«

Przez resztę wieczora xiężniczka okazywała z przesadą najgłębszą obojętność i zimną krew na wszysko, com do niej mówił. Oddaliłem się od niej udając, że mię to dotknęło. Ona tryumfuje jakoteż i Grusznicz. Tryumfujcie, moi przyjaciele, a spieszcie się, bo niewiele macie czasu. Mam ja pewne moje przeczucia, które mię nigdy nie omyliły. Zabierając znajomość z jaką kobietą, odgaduję natychmiast, czy jej jest przeznaczono kochać mię.

Resztę wieczora przepędziłem z Olgą; rozmawialiśmy o rzeczach ubiegłych... Doprawdy nie mogę zrozumieć, za co ona mię tak kocha, tem bardziej, że to jedyna kobieta, która mię istotnie pojęła ze wszystkiemi drobnemi słabościami mojemi, ze wszystkiemi złemi namiętnościami.... w czem bez wątpienia niema nic wielce pociągającego.

Wyszedłem wraz z Gruszniczem. Skoro stanęliśmy na ulicy, ujął mię za rękę i po długiem milczeniu wyrzekł:

— »No i cóż?«

Miałem wielką chętkę odpowiedzieć mu: »Jesteś gapiem!« alem się wstrzymał od pokusy i wzruszyłem tylko ramionami.

6 czerwca.

Ani na chwilkę nie zboczyłem od mojego systemu. Rozmowa moja poczyna podobać się młodej xiężniczce.

11 czerwca.

Pytam nieraz sam siebie, po co ja z takim uporem ścigam miłością moją młodą dziewczynę, której uwieść nie mam zamiaru, a z którą żenić się nie myślę. Olga kocha mię stokroć więcej, niżby to potrafić mogła xiężniczka Mery. Gdyby ona była pięknością nadzwyczajną, możebym został mimo mej woli ujęty, a trudność przedsięwzięcia dośćby mi się podobała. Ale tu nie zachodzi nic podobnego. Ani to jest owa niespokojna potrzeba kochania, która nas dręczy w młodszych leciech naszych, która zmusza nas gonić od jednej kobiety do drugiej, dopóki nie natrafimy na taką, która nam się opiera; wtedy dopiero poczyna się stałość nasza; ta namiętność prawdziwa, nieskończona, jest niezgłębioną tajemnicą i niezawsze nawet kończy się niemożnością doścignienia celu....

Na co ja sobie zadałem tyle trudów? czyli to przez nienawiść dla Grusznicza? Niestety! biedny chłopiec, nie posiada tyle wartości, aby mógł zasłużyć na nienawiść! lub może przez owo niskie lecz niezwyciężone prawie uczucie, które nakłania nas do niszczenia bez litości najsłodszych błędów i ułudzeń bliźniego, aby mieć przyjemność powiedzenia mu zimno, gdy on zrospaczony przyjdzie nas zapytać, w co ma wierzyć i co począć: »Mój kochany, i mnie także trafiło się coś podobnego niegdyś.... a widzisz przecie sam, że jem, spię i trawię wyśmienicie; a co więcej, spodziewam się umrzeć bez wielkich krzyków i łez.

Niewysłowiona zawiera się roskosz w ujęciu sobie duszy młodej, zaledwie rozwiniętej. Jestto niby kwiat,

z którego woń najdelikatniejsza wymyka się na uścisk pierwszych promieni słońca. Trzeba pospieszyć z zerwaniem go.... i pospieszyć z porzuceniem; może go kto inny podniesie. Czuję w sobie żądzę chciwości, której nic nasycić nie może, która pożera wszystko, cokolwiek napotka. Cierpienia i roskosze drugich, uważam li tylko w stosunku, jaki mieć mogą z moją osobą, jako pokarm, który utrzymuje siły mojego ducha. Pod wpływem namiętności gotów jestem popełniać szaleństwa, lecz wytrzeźwiony nie troskam się o ich skutki. Okoliczności utłumiły we mnie to, co nazywają ambicią, lecz odradza się ona pod inną z swoich postaci, gdyż czemże ona jest innem, jeżeli nie żądzą panowania!? a największą moją roskoszą jest, zmusić wszystko co mnie otacza do ulegania mej woli. Wzbudzać uczucie miłości, poświęcenia, bojaźni, nie jestżeto oraz oznaka i tryumf władzy? Być dla drugich przyczyną udręczeń lub radości, nie mając do tego żadnego prawa, nie jestżeto najprzyjemniejszy ze wszystkich pokarmów, jaki dać możemy naszej dumie? A cożto jest szczęście? zadowolona duma!?! Gdybym mógł mniemać się najlepszym i najpotężniejszym ze wszystkich ludzi, byłbym szczęśliwym; gdyby wszyscy mię kochali, znalazłbym w sobie niewyczerpane źródło miłości. Złe rodzi złe; pierwsze cierpienie nasze daje nam naukę dręczenia drugich, a wyobrażenie złego nie może zrodzić się w człowieku, aby w nim nie obudziło oraz zachcenia wykonania go. Ideje, są to istności organiczne, przy narodzeniu nabywają formy; tą formą jest czyn. Ten, którego glowa zawiera w sobie najwięcej idei, ten działa najwięcej; ztąd to wynika, że człowiek z jeniuszem uwięziony przy stoliku rachunków sklepowych, musi ginąć przed czasem, albo oszaleć.... jak człowiek z silną budową ciała umrze na apoplexią, jeżeli jest zmuszony prowadzić życie bez ruchu.

Namiętności nie są czem innem, jak idejami w pierwszem ich rozwinięciu. Są one właściwością młodości serca, i szalony ten, który mniema, że zatrzyma ich nawalnice i wzruszenia przez cały bieg życia swojego. Rwistym potokiem u źródła poczyna się bieg spokojnej rzeki, a żadna rzeka nie dojdzie do oceanu okryta spienionemi falami. Lecz spokój bywa częstokroć prawdziwem znamieniem wielkiej siły; głębokość uczuć i myśli nie dopuszcza szalonych zapędów na zewnątrz; dusza, która cierpi i używa, zdaje sama przed sobą rachunek surowy; wstępuje w głąb własnego życia, pieści się, karze, jak to czynimy z ulubionym dziecięciem. Tylko li w tem zgłębionem poznaniu samego siebie, człowiek może rozpoznać sprawiedliwość Boga.

Odczytując te kartki, spostrzegłem się, iż mimowolnie odbiegłem od mojego przedmiotu.... Mniejsza o to.... Wszystko, cokolwiek przypadek rzuci w ten dziennik, będzie dla mnie poźniej szacownem wspomnieniem . . . .

. . . .

Wiaśnie był u mnie Grusznicz. Rzucił mi się na szyję; mianowany został oficerem. Spijaliśmy szampana, fetując tę uroczystość.

Doktor wszedł po chwili.

— »Ja ci nie winszuję« rzekł do Grusznicza.

— »A to czemu?«

— »Ponieważ tobie bardzo do twarzy w tej kapocie żołnierskiej, a mundur u wód sporządzony nie nada postaci twojej nic interesującego. Uważ, iż dotąd byłeś wyjątkiem, teraz zaś wchodzisz w regułę ogólną.«

— »Gadaj sobie! gadaj! doktorze; nie przeszkodzisz mi, abym się nie miał radować. On ani wie« dodał ciszej nachylając się ku mnie »ile nadziei dodają mi te szlify. O szlify! szlify! wasze gwiazdy będą dla mnie gwiazdką pastuszka.«

— »Czy pójdziesz dziś z nami do groty?«

— Ja! a broń Boże! nie pokażę się xiężniczce dopóki nie będę miał mojego munduru.«

— »Czy chcesz abym jej oznajmił twoje szczęście?«

— Nie, o nie! nie mów jej nic, bardzo cię o to proszę; chcę jej sprawić niespodziankę!....«

— »Powiedzże mi przynajmniej, jak daleko z nią zaszedłeś?«

Zmieszał się widocznie; radby był z duszy pochełpić się czemsiś stanowczem, ale nie miał do tego dość odwagi.

— »Czy sądzisz, że ona cię kocha?«

— »Ona mię kocha!« powtórzył »Lecz cożbo ty sobie myślisz?.... Jakże ona mogła tak prędko.... Zresztą, kobieta *comme il faut* nie przyznaje nigdy że kocha!«

— »Bardzo dobrze; a więc według twego zdania i mężczyzna *comme il faut* powinien również ukrywać swoje zapały?«

— »Eh! mój kochany, wiele jest takich rzeczy, których się nie mówi, a które przecież doskonale się odgaduje.«

— »To, to prawda!.... Lecz miłość, którę wyczytujemy w jej oczach, nie zobowiązuje kobiety; gdy tymczasem słowa.... bilecik.... Strzeż się Grusznicz, ona zadrwi z ciebie.«

— »Ona!« wykrzyknął wznosząc oczy do sufitu z miną wielce zadowoloną »żal mi ciebie, Adamie!« I wyszedł.

Wieczorem liczne towarzystwo udało się pieszo do groty.

Położona jest ta grota w samem sercu Miszuka; wąska i spadzista drożyna wiedzie do niej pośród skał i krzaków. Xiężniczka przyjęła pomoc mojego ramienia na całą przechadzkę.

Poczęliśmy rozmowę od obmowy; najprzód uczyniłem przegląd wszystkich kąpielowych znajomości, a sporządziwszy pocieszny obrazek uwydatnionych śmieszności każdego zosobna, przeszedłem wkrótce do ich wad ogólnych i szczegółowych. Żółć moja była poruszona; zacząłem był od niewinnych żartów, a skończyłem na prawdziwej złości. Mowa moja bawiła z razu xiężniczkę, lecz w końcu przestraszyła ją.

— »Jesteś pan człowiekiem niebespiecznym« rzekła mi »i wolałabym być narażoną na sztylet zbójcy, niż na złośliwość jego.... Jeżeli kiedy przyjdzie panu fantazja mówienia źle o mojej osobie, zaklinam go, zabij mię raczej wprzódy.«

— »Czyżem podobny do zbójcy?«

— »Gorszym stokroć!«

Zastanowiłem się na chwilę i odpowiedziałem jej z miną dość wzruszoną:

— »Niestety! takim był los mój od dzieciństwa. Każdy wyczytywał w mojej twarzy wady, których nie miałem; a przez to dawał mi ich wyobrażenie i zrodziły się w sercu. Byłem skromny, obwiniano mię o obłudę; stałem się skrytym. Czułem żywo złe i dobre, uwzięto się, aby mię obrażać; stałem się mściwym. Byłem rozważniejszym od dzieci w moim wieku, czułem się wyższym od nich, stawiano mię niżej; stałem się zazdrośnym. Usposobiony byłem do kochania, nikt mię nie zrozumiał; nauczyłem się nienawidzić. Cała młodość moja upłynęła mi śród tej walki między mną a światem. Lękałem się szyderstwa, kryłem więc w głębi serca lepsze uczucia moje, i one tam zaginęły. Mówiłem prawdę, nie wierzono mi; począłem kłamać. Skoro poznałem dobrze świat i tajne sprężyny towarzystwa, nabyłem biegłości w sztuce życia. Wtedyto narodziła się we mnie rospacz, nie owa rospacz gwałtowna, którą uleczа się pistoletem; lecz inna, daleko straszliwsza, zimna, bez wybuchów i gwałtowności, która kryje się pod maską powabną i uśmiechem obojętnym. Tak stałem się prawdziwym kaleką moralnym; jedna połowa duszy mojej pozostała żyjącą, druga schła, więdła, zamarła na zawsze. Odciąłem ją i rzuciłem zdaleka od siebie. Co pozostało przy życiu, ruszało się w cichości, a nikt na to nie zważał, nikt ani się domyślał o tem, co ja utraciłem. Przypomniałaś mi pani dzisiaj, że jedna cząstka mojej istoty pogrzebana na zawsze, i skreśliłem ci jej nadgrobek. Wiem o tem bardzo dobrze, że wielu znajduje nadgrobki bardzo śmiesznemi, ale ja nie podzielam tego zdania, szczególniej gdy sobie przypomnę, co pod niemi spoczywa. Zresztą nie pragnę, abyś pani dzieliła moje opinie, a jeżeli ten mój wybuch wydaje jej się śmiechu godnym, śmiej się, proszę o to, śmiej się pani do woli, uprzedzam, że mię to bynajmniej nie obrazi.«

W tej chwili spotkałem się z jej oczyma; były one zwilgocone łzami; dłoń jej drżała opierając się na mojem ramieniu; policzki były pałające; litowała się nademną. Politowanie, owo uczucie, ku któremu kobiety tak łatwo się nakłaniają, politowanie zapuściło swe szpony w to niedoświadczone serce. W ciągu całej przechadzki była roztargniona, nie kokietowała nikogo; to już znak dość pomyślny....

Przybyliśmy nakoniec do celu naszej wędrówki; panie podziękowały swoim przewodnikom; ale ona nie opuszczała mojego ramienia; głębokość przepaści, nad którą stanęliśmy, nie zdawała się ją przerażać, podczas gdy drugie damy wydawały okrzyki trwogi, zasłaniając sobie oczy.

Z powrotem strzegłem się odnawiać posępną rozmowę, jaką prowadziliśmy przed chwilą; odpowiadała urywkowemi słowy i z miną w półzadumaną na moje pytania i żarciki.

— »Czy kochałaś pani?« zagadnąłem nakoniec.

Spojrzała mi w oczy, wzruszyła głową przecząco i utonęła w zadumaniu.

Było rzeczą widoczną, że chciała mi coś powiedzieć, lecz nie wiedziała jak zacząć. Czułem, iż łono jej wznosiło się do wzruszenia. Rękawek z muszlinu, zbyt leciuchna ochrona, a iskra przebiegła z mojej do jej dłoni. Nie potrzebaby sięgać zbyt daleko, aby dojść do źródła namiętności. Wprawdzie przymioty nasze moralne mogą usposobić serce do pojęcia ognia miłości, lecz one nie rozstrzygają nic stanowczo, i zostawują to staranie jakiej okoliczności, która wydałaby się marną w innym dniu, w innej chwili.

— »Nieprawdaż, że byłam bardzo animującą dzisiaj?« rzekła do mnie xiężniczka z uśmiechem przymuszonym przy pożegnaniu.

Skłoniłem głową i rozstaliśmy się.

Ona jest niekontenta z siebie?.... wyrzuca sobie oziębłość.... To już wielki krok na przód. Jutro sta-

rać się będzie, abym o tem zapomniał.... Ach! wiem to wszystko na pamięć, i to jest właśnie co mię nudzi.

12 czerwca.

Widziałem się dziś z Olgą. Dręczy mię zazdrością swoją. Zdaje mi się, że xiężniczka wybrała ją sobie za powiernicę. Wyznać trzeba, że wyśmienity uczyniła wybór.

— »Już ja wiem dokąd to wszystko zmierza« rzekła do mnie Olga »oto najlepiej będzie, gdy mi powiesz natychmiast, że ją kochasz.«

— »A jeżeli ja jej nie kocham?«

— »Na cóż więc ścigać ją, niepokoić, zapalać jej wyobraźnią? O! znam ja cię zanadto dobrze.... Adamie!.... Słuchaj mię; pojutrze wyjeżdżamy do Kislowodska; jeżeli chcesz, abym ci uwierzyła, przyjeżdżaj tam za nami za dni ośm. Xiężna również tam przybędzie i zamieszka pierwsze piętro domu, którego drugie zatrzymaliśmy dla siebie; lecz ona jeszcze jakiś czas pozostanie tu dla kąpieli. Właściciel naszego domu posiada drugi obok. Cóż, czy przystajesz na to?«

Przyrzekłem, i jeszcze tegoż dnia posłałem zamówić dom wspomniany.

Grusznicz był u mnie dziś wieczorem około szóstej godziny. Zwiastował mi, że jego mundur będzie gotowy na jutro, i że w nim wystąpi na balu.

— »Kiedyż to ma być ten bal?«

— »Ależ jutro. Cóż ty nie wiesz o tem? To będzie pyszna feta! Urzędnicy miejscowi podjęli się sami urządzenia wszystkiego.«

— »Czy pójdziesz na wały?«

— »Za nic w świecie! w tej bezecnej kapocie!«

— »Jak ty teraz nią gardzisz!«

Wyszedłem sam, a spotkawszy się z xiężniczką, zamówiłem ją do pierwszego mazurka; była zdziwioną i uradowaną razem.

— »Sądziłam« rzekła z najpowabniejszym uśmiechem »że pan nie tańcujesz jak tylko w razie koniecznym.«

Nie zdawała się zważać na nieobecność Grusznicza.

— »Gotują dla pani przyjemną niespodziankę na jutro« rzekłem jej.

— »Cóż takiego?«

— »Jestto tajemnica... którą dopiero na balu odgadniesz pani.«

Resztę wieczoru spędziłem w salonie xiężnej. Z obcych nie było tą razą nikogo oprócz Olgi i jakiegoś staruszka bardzo wesołego. Byłem dnia tego w moim humorze; zaimprowizowałem na prędce kilka powieści nadzwyczajnych, to dzikich, to pustych; młoda xiężniczka siedziała naprzeciwko mnie i słuchała moich szaleństw z tak głęboką, tak czułą uwagą, że mi się jej żal zrobiło. Gdzież się podziały jej próżność, jej zalotność, jej kaprysy, ten uśmiech wzgardliwy, ów ton pewności, ta mina w półroztargniona, w półdumna, z jaką zwykła na ludzi spoglądać?....

Olga nie traciła i słowa z iej rozmowy; głęboki smutek wyrażał się na jej bladej twarzy; siedziała ona nieco o podal, przechylona o poręcz fotelu. Ulitowałem się jej cierpienia. Począłem rozpowiadać, używając nazwisk zmyślonych, całe dzieje naszego poznania, naszej miłości. Oddałem w tak żywych barwach moje walki, niepokoje, czułość, uniesienia; przedstawiłem w tak przyjaźnem świetle jej charakter, jej postępowanie, że zmuszoną była przebaczyć mi moje zalecanki do xiężniczki. Powstała, usiadła bliżej przy nas, ożywiła się i dopiero około drugiej po północy przypomnieliśmy sobie, że lekarze polecają, aby iść spać przed jedenastą.

(Ciąg dalszy nastąpi)

DAMOKLES.

Nad Syrakuzą, miastem żałoby,
Denis okrutny, sęp krwawodzioby,
Potężnem berłem panował.
Pod swoje stopy słał ludzkie czaszki
I niewolników pruł dla igraszki,
A przy ich jęku ucztował.

Nie znając miasta, ni obyczajów,
Do Syrakuzy z dalekich krajów
Damokles mędrzec przybywa;
I ledwie wylazł z okrętu łodzi,
Już mu niewolnik drogę zachodzi
Do zamku króla go wzywa.

Poszedł, przy wielkich schodów podnóżu
Pielgrzymie suknie otrzepał z kurzu
I wstąpił w zamku przysionki.
Każden przysionek sługami pełny,
Każdego szatę z tyrijskiej wełny
Bramują złote koronki.

I przez komnaty przechodził mnogie,
Na ścianach lśniły kamienie drogie
Ujęte w sztuczne oprawki;
A kiedy oczy wzniósł ku powale,
Zadrżał z podziwu: miast niej zuchwale
Wisiały szklanne sadzawki.

W sali tronowej Denis siadł dumny,
Około tronu białe kolumny
Aż w niebo parły swe głowy.
Damokles patrząc na te przepychy,
Ukląkł olśniony, do syna pychy
Takiemi przemówił słowy:

»Potężny władco! bogów kochanku!
»Twe czoło ciągle w bezwiędłym wianku
«Godowe ozdabia kwiecie;
»Budzisz się, żeby usnąć w roskoszy,
»A myśl o jutrze snu ci nie płoszy;
»Tyś najszczęśliwszym na świecie.

»Na tobie panie! potwór zawiści
»Zbrodniczy zamysł nigdy nie ziści,
»Bo ty go wytępisz w jądrze.«
Tu urwał mędrzec, co żył nie błądząc,
Damokles mędrzec; lecz z tych słów sądząc,
Niebardzo przemówił mądrze.

Denis się zaśmiał i odrzekł na to:
»Niechże cię moją obloką szatą,
»Na moje złożą posłanie,
»Co tylko każdy zmysł twój zapragnie
»Niech do twej woli zaraz się nagnie,
»A z jutrem zmienisz swe zdanie.«

Wszechwładną ręką król na tłum skinął,
I wnet się z tłumu rój sług wywinął:
Ci mędrca do łaźni wiodą,
Tam miękkich futer kryjąc go błamem,
Jęli nacierać wonnym balsamem
Różaną zlewać go wodą.

A gdy już zmrokiem ćmiło wieczorze,
Damokles zaległ królewskie łoże,
Oparty na złotogłowiu:
A przed nim stały z owocem czary,
Z Falernu winem złote puhary,
W girlandy kwietnem okowiu.

A szereg krytych gwiazd w alabastrach
Przed nim się migał, w tęczowych astrach
Kadzidła wiały z trójnogów;
Dwanaście cudnych dziewic czekało,
By spowić białem ramieniem ciało;
Damokles drwił z wszystkich bogów.

W tem gdy znienacka z puchów zatopu,
Szczęśliwy mędrzec w górę do stropu
Wzrok rozmarzony podnosi,
W gardle z przestrachu zmarło mu słowo:
Nad jego łożem, nad jego głową
Miecz duży wisiał na włosi.

Zerwał się z łoża, a drżąc o życie,
Tak szeptał, z zamku uchodząc skrycie:
»Bespieczniej owca zalękła
»Może usypiać w wilków gromadzie,
»Bespieczniej noga stąpa po gadzie,
»Niżli . . . .«
Ach! struna mi pękła!

Kornel Ujejski.

Terminologia nauk społecznych.

(Porównaj gazetę lwowską Nr. 114.)

Broda (?) wyraz niezadowalniający. Mylnie bowiem oznacza jednem słowem dwie wcale odmienne części jednej powierzchni ciała, tak tę, którę Francuzi także niedokładnie zowią *la barbe*, Niemcy także niedokładnie *der Bart*, jako też i tę, której zostawić należy nazwę właściwej brody. Jakie pomiędzy niemi zachodzą różnice, wyłożymy tutaj.

Wszystkie członki ciała naszego stanowią jedną harmonię; w niej wyjawia się zmysłowo nasza niezmysłowa wewnętrzność, w niej są dostrzegalne zarody nawet naszych zdolności, namiętności, usposobień, wad i przymiotów, czy to już rozwiniętych, czy dopiero rozwinąć się mających. Oto jest przedmiot umiejętności fiziologicznych i fizionomicznych. Środkami ułatwiającemi i powiększającemi d z i a ł a n i a z d o l n o ś c i c z y n n y c h*) trudnią się nauki wszelkie. Zadaniem rządów jest usuwać przeszkody tamujące te działania.

Jeżeli uważamy tylko powierzchnią ciała naszego, uderzą nas zaraz dwie główne różności połączone jednak jego jednością. Pierwsza usiluje widocznie wszystkie części zespolić, zaokrąglić, wyrównać. Druga ma dążność rozstrzępiania, rozrzucania, zaostrzania. I pierwsza i druga były w różnych czasach i miejscach za pomocą praw i bez ich pomocy, godząc potrzeby ludzkie z koniecznościami rządowemi, wystawiane na prześladowania i dolegliwości. Pierwsza zowie się skórą; druga wło-

*) Zdolności mają się do uczynków, jak siła do materii. Gdzie niema materii, tam nie możemy nic wiedzieć o sile. Zdolności nieczynne, nie wiedzieć czy są zdolnościami, jakżeż mówić o nich? To *terra incognita*, do której nie dostali się jeszcze najśmielsi awanturnicy: metafizyka i supernaturalistyka. Zapuszczanie się na takie bezdroża prowadzi do podwójnego galimatias. Dobrą jest pamięć, ale zbytnia skrupulatność z obcemi sposobami wyrażania, wygląda często jak bezmyślność.

sami; kiedy więc pomiędzy skórą a włosami tak wielka zachodzi różnica, nie może być zadowalniającym wyraz »broda«, mający oznaczać i brodę bez włosów i włosy na brodzie. Pominąwszy nawet nierozumowość, codzienne doświadczenie uczy, jakie nieporozumienia, dwuznaczności i nielogiczności kłują się z tego językowego zaniedbania. Filozoficzne pewniki zachwiewają się w swoich granitowych posadach Można zarazem mieć brodę i nie mieć brody. Porządni ludzie przemieniają się w *monstra*; można mieć dwie brody naraz, a doliczając do tego czasami potężny podbródek, trzy brody jako symbol kabalistycznej doskonałości, odnoszący się w czasy przedhistoryczne do owej sławnej himalajskiej *Trimurtis*, siedzącej z założonemi pod siebie nogami i z trzema brodami, jak przekonywają świadectwa Niebuhra i rysunki przy dziełach Vollmera i Rhodego. Wydarza się często słyszyć pytających, czy ten albo ów ma brodę? czy nosi brodę? Jestże w tem sens? I jest i niema. Z odmiennych wprawdzie przyczyn ale i to także należy policzyć do historycznych nieporozumień tyczących brody, iż królowa Bona powiedziawszy któremuś z Koniecpolskich: »Daj brody, a będziesz panem krakowskim«, nie wiedział biedaczyna, czy to chodzi o włosy, czy o owe miasteczko za Złoczowem.

Broda bez włosów jest coś ścisłego, systematycznego; broda zaś włosy, jest niemal wyłącznie rozchwiejna, apofrystyczna. Pierwsza powinna służyć drugiej za podstawę. Zkąd zaś poszło, że broda włosy, najprzód poznaną została, okaże rzut oka na historią:

Mało kto wie, że wszyscy ludzie rodzą się z brodami, rozumie się bez włosów. Ale w początkach rozsądek społeczności gwałtom podpadającej nie wyrażał się nawet w prawodawstwie, z tej prostej przyczyny, że go nie było; że czas długi zastępowały go nawyknienia i zwyczaje. To targano się wzajemnie za brody, to dotknięcie jej uważano za największe znieważenie, to ją samą za najosobliwszą świętość, bo przysięgano na nią. Jeszcze przed feudalnością, przed prawodawstwem, przed jakąkolwiek formą i siłą rządu, ba nawet przed środkami wygodniejszego porozumiewania się, przed językiem, owo zgoła przed wynalezieniem mydła i brzytwy, te bezwłose brody, z któremi się ludzie rodzili, porastały bujno, jak przedpotopowe gąszcze, których nie tknęła siekiera. Skoro więc brodacze zaczęli zastanawiać się i nazywać przedmioty podpadające im pod zmysły; już broda włosy tak zupełnie zakrywała ową pierwszą brodę, że nie można jej było widzieć. Czemu najuczeńszy nawet nie winien. Tak trwało czas długi w starożytności.

Aż naraz w krajach inaczej rządzonych nowy system powstał. Już Pliniusz i Galen wspominają pierwsi o mydle, którego jednak wówczas używano tylko do lekarstw i prania. Dobrze poźniej, bo 1669, założył Jerzy Karol w Augsburgu mydlarnią na wielki rozmiar. Nie wszędzie jednak czekano tak długo z brodami. W 454 lat po zdobyciu Rzymu sprowadził tamże pierwszych strzygobrodów z Sycylii Publius Ticinus Mena. W Niemczech pojawili się oni w wieku XIII., w Francii w XVII. Pierwszą niby brzytwę zrobiono 1638, aż wreszcie Hymans w Londynie udoskonalił ten wynalazek, a golenie bród przed tem niewygodne, odbywało się już na przednio. Rzecz jednak dziwna, że wygoliwszy brodę, to co znaleziono pod nią, także brodą zwano. Zniosłszy brodę włosy, nie obmyślano środków przeciw zarastaniu. Może obmyśleć nie było podobna.

Gdy tym sposobem broda wymknęła się z pod kierunku częścią dawnych nałogów i przesądów, częścią wściubień politycznych i religijnych, kiedy przestała oznaczać naród, wiarę, godność lub stronnictwo: z politycznej stała się społeczną. Domagała się tylko bezpieczeństwa, nie wzywała pomocy. Jedynie w wyobrażeniu, wygodzie i upodobaniu właściciela swojego szukała niezawisłych źródeł pomyślności. Nie żądała praw protekcyjnych, poprzestając na pojedynczych względach np. uczesaniu, upomadowaniu i t. p.

Te ważne zachodzą różnice między dwiema brodami, które się nawzajem wspierać powinny. Atoli przechodzi to obręb artykułu, którego celem jest wyokazać potrzebę rozróżnienia brody bezwłosej od brody włosianej. — Czy w naszym języku wyrazy te mają być zachowane? o to pytanie!

Nietylko dzikość, ma także i uczoność swoje barbarzyństwo. W wiekach starożytnych uważała się za skarb kasty wyłącznej, ukrywała się troskliwie, taiła pod niedostępnem zamknięciem hieroglifów, symboli, sfinxów, obrządków i t. p. Po odrodzeniu nauk w Europie, język wymarły łaciński stał się tą nieprzejrzaną tarczą, mającą zasłaniać światło przed gminnemi oczyma. Nauki w takiem przybraniu były trudno przystępne, od życia publicznego wyłączone; odgrywały niejako rolę eleuzyńskich skrytości. Nareszcie ustała potrzeba, a nierównie poźniej pedantyczność wywołująca takie zjawisko. Na-

stępnie uczeni w przesądnej obawie o powagę mądrości oszpecili języki ludowe często bez potrzeby mnóstwem wyrazów pospolicie niezrozumiałych, wywlekanych z rdzewiejących zbrojowni, z greczyzny i łaciny; mnóstwem zwrotów i wyrażeń nadętych jak akademicka peruka, uznanych tylko przez korporacią uczonych, odpowiednich nibyto istocie nauki, rzeczywiście zaś do tego dążących, aby prawda i wiedza nie spospoliciały na otwartem polu śród ludu, aby je otoczyć nieprzebytym wałem i zamknąć jak wyłączną własność w najeżonej warowni. Tem była owa drobiazgowa analiza i terminologiomania scholastyczności. Nareszcie kiedy większa sumienność i lepszy rozsądek doradziły zbywać się tych bałwochwalskich przyborów uczonej próżności i dumy, kiedy coraz częstsze zdarzają się przykłady niechania według możności słów niezrozumiałych dla ogółu, właściwych nie językowi, tylko nibyto naukom, kiedy Oken pisze popularną historię naturalną, a Litrow nawet popularną astronomię: to u nas zaczynają sobie łomać głowy nad terminologiami nauk społecznych, chcą zgromadzać te plewy wymiecione gdzieindziej, nie mogą zcierpieć, aby nie otaczać jeszcze nauk obłokiem jakowejś wielmożności: utrzymują, że nie można przystąpić do nich, nie mając poprzednio terminologii jakby wstępnego biletu. Tymczasem dość na to zdrowego rozumu. Twierdzą, że przedewszystkiem trzeba się porozumieć, trzeba postarać o możność oddawania wyrazów używanych w naukach w obcych językach. Komu ciągle tkwią w głowie formy i wyrazy francuskie lub niemieckie, ten nie porozumie się z polską publicznością, chyba wyuczywszy ją wprzódy po francusku i po niemiecku.

Kto zaś oderwać umie ideę od wyrazu, komu tkwi w głowie treść nie nazwisko, ten nie zakłopoce się o słowa takie lub owakie koniecznie dla tego, że ich używają gdzieindziej; uczyni się on zrozumiałym bez stwarzania lub małpowania języków. Zwykle nauka wydaje terminologią, u nas przeciwnie zdają się wyglądać nauki po terminologii. Więc zaczynają od tej ostatniej, wysyłają ją naprzód jakby kozaka z kagańcem, ażeby drogę państwu oświecał.

Jeżeli z jednej strony pewną jest rzeczą, że nauka obejść się nie może bez rostropnie użytej terminologii, czyli bez słów: to z drugiej strony niemniej pewne, że terminologia może się wcale obejść bez nauki. Niechże pamiętają o tem chcący poczynać od naukowych wyrazów, że może przyjść czas, w którym mieć będziem naukę i tę ich terminologię — niestety! — jedno od drugiego z osobna i zdaleka. Wiadomości zasadzają się na wyobrażeniach, na ideach. Skoro zaś dla nauki, to jest dla udzielania tych wyobrażeń da się czuć potrzeba nazwania ich: to najstosowniejsze nazwiska, bo pod wpływem spółczesnych pojęć i okoliczności wydaje sam żywy język, z tegoż samego pnia, z którego dogadzając potrzebom narodu wszystkie wyrazy wydał. Ktoby zaś wyprzedzając tę językową konieczność, wypływającą z dościgłości wiedzy, kusił się o wyrazy dla dopiero nastąpić mającej nauki, czyli innemi słowami mówiąc, chrzcił dziecko przed jego narodzeniem, ten może się znaleść w zabawnem położeniu: posiadania nazwiska bez dziecka Bity to gościniec do ideologii! Żądając wyrazów dla pewnych naukowych pojęć, nie należy się obzierać jak je nazywają Francuzi, Niemcy lub inni; gdyż wtedy nie nazwiemy pojęcia, tylko przetłumaczymy obce wyrazy. A przecież wielka jest różnica między życiem języka, płodzącem z wewnętrznego popędu, a tłumaczeniem z zewnętrznych pobudek: jakby między liściami drzewa, zrośniętemi z gałęzią i żyjącemi sokiem gałęzi, a liściami porobionemi na urząd i przyklejonemi do drzewa. Wynikłości mogą być jednakowe, ale różne są drogi myśli. W nazwaniu pojęć powinien być zachowany ślad drogi, po której się doszło do pojęcia; inaczej mówiąc powinna być zachowana rodzimość jego rozwoju To stanowi zrośnięcie wyrazu z językiem, z narodem i z nauką. Nabywszy naukowych pojęć z obcych języków, nie dziw, że chcąc je u siebie nazwać, będziemy niepotrzebnie wysilać się na tłumaczenie obcych wyrazów. Ale człowiek taki nie jest powołany do zaprowadzenia terminologii, a język taki i nauki takie jeszcze jej niezdolne. W świecie moralnym równie jak w fizycznym wszystko ma czas swej dościgłości, której nie można przyspieszyć gwałtownie, pomijając warunki jakim podpada. Doszedłszy w pracowni własnego ducha, na własnych drogach do naukowych pojęć, dopiero uzdalnia się i duch nasz i język do ich nazwania. Jestto tylko wyświeceniem wyżej objawionego zdania, że nauka wyprzedzać powinna terminologię, gdyż terminologia jest dla nauki. Wysyłanie zatem naprzód terminologii, łączy z niedorzecznością nawet szkodliwość. Jestto wszczepianie w żywy organizm martwej kostki. Dla tego poczytałem sobie za obowiązek zwrócić uwagę na ten nowy rodzaj suszenia mózgu nad uczonemi czczościami. Terminologia taka jest tylko ułatwieniem pedantycznej uczoności, ale utrudnieniem czystej wiedzy. Niektórzy napuszają swój wykład tak często i tak wyszukanemi naukowemi wyrazami, że zda się chcą pokryć cielę płaszczem doktorskim, że wyrazy zasłaniają treść, czyli

mówiąc bez ogródki, maskują niewiadomość, brak treści. Terminologia jest często dla uczonych tem, czem słowo w ogólności dla dzieci, zatrzymują je pamięcią, a używają (nawet stosownie) przez naśladownictwo. Wzmacnia to i ćwiczy pamięć, ale tłumi myślenie. Niedorzecznością jest utrzymywać, jakoby tej lub owej nauki wykładać nie można dla braku przysposobienia w języku. Brakto przysposobienia w nas samych. Język jest zawsze ułatwieniem w naukach, nie trudnością. Tym tylko wydać się może jak trudność, którzy go nie znają, którym brak przemyślanej treści, którym połapanie zwierzchnie, wyrazowe z obcych języków tak głowę zmąciły, że ani sposób wyplątać się z tej pajęczyny i przez te męty dopatrzyć jasności. Właśnie jak obżarciuch, kiedy nałykawszy bez ładu tych i owych potraw, narzeka potem na niestrawność swego żołądka, utrzymuje, że cudze trawią lepiej. Gdyby pożywał wedle istoty i siły swojej, byłby zdrów. Każda myśl może objawić się w rozmaity sposób: starajmyż się myśleć według istoty języka naszego, ale nie łomać język według myśli z obcych języków, inaczej skrystalizowanych. Rzeczto niesłychana, układać słownik na sejmie i większością głosów i uczonemi rozprawami rozstrzygać, jak słowa brzmieć mają. Co w stosunku do całego słownika jest niedorzecznością, miałożby być rozumem w stosunku do jego części, do terminologii? Dla tego kuźnia wyrazów uczonych, odnosząca się nawet do publicznego zdania, byłaby założeniem wcale nieużytecznem, przeciwnem istocie języków. Czeladnikując w niej, można często zlać czoło potem, ale praca takowa pod względem wynikłości będzie zawsze marnotrawstwem czasu. Najlepsze chęci są tylko największem utrudzeniem, kiedy zamierzenie jest niepodobne. Cóż nadadzą praca, zajęcie, gorliwość i uczoność nawet, usiłującemu szklanne lub papierowe listki powszczepiać w żywe gałęzie? Zaiste zwaśniwszy się z językiem nie sposób używać go do wykładu nauk, ale czyż publiczność może być wtedy rozjemcą i pośrednikiem? Znać jednak wielkie zwaśnienie, gdzie za chodzi wątpliwość czy *Handwerker* po polsku rzemieślnik, czy *social* znaczy społeczny?

L. D-B

Kronika literacka.

Panna Narcyza Żmichowska i jej wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowem wychowaniu panien, wydany świeżo w Warszawie 1847. Część przedwstępna.

Po raz pierwszy czytamy prawdziwe nazwisko tej autorki na czele osobnego pisma. Wszakże od lat kilku była ona pod pseudonymem Gabriella miłą naszą znajomą w drużynie literackiej. Tylko brak jednego powszechnego ogniska literackiego winien, że imię Gabrielli ogólniejszego rozgłosu nie nabyło. Jestto bowiem niezwykłe, zajmujące zjawisko literackie. Ze wszystkich dzisiejszych autorek polskich dowiodła Gabriella niezaprzeczenie najwięcej oryginalnego talentu. Owszem, prócz słynnej pisarki francuskiej, nie znamy w żadnym obcym języku autorki, któraby w całym stosie dzieł swoich tyle poezii zawarła, ile Gabriella w kilku urwanych szkicach, mianowicie powieści jej Capriccio, Poganka i Xięga pamiątek w warszawskim przeglądzie naukowym z całą śmiałością i siłą męża, z całym wdziękiem i i czuciem kobiety napisane. Wszędzie własny zasob widzenia świata, głębokie zapatrzenie się w życie, świeżość myśli, świetność wyrazu — pióro mistrza. Atoli ten mistrz jest istnem dziecięciem w niewymownej prostocie i prawdzie swego uczucia, i to właśnie stanowi głównie zniewalający powab pism Gabrielli. To zaś spółczesne mistrzostwo jej i dziecięctwo wynika z jednego źródła: — Gabriella jest prawdziwym poetą. Owoż teraz ten poeta dziewiczy występuje z pismem głębokiej rozwagi i pracy, z dziełem prawdziwie chrześciańskiej miłości i gorliwości, skromnem i niepozornem na oko, lecz użytecznem i dobroczynnem jak cnota chrześciańska. I jakby autorka to dzieło czynnego poświęcenia się sama nad owe fantastyczne utwory ceniła, wymienia się ona na niem po raz pierwszy przed publicznością, kładąc tem, jak tuszymy, trwałą posadę chlubie swego imienia. To nader użyteczne jej dzieło jest niczem więcej, jak tylko xiążką podręczną dla wszystkich matek i wychowawczyń, zabierających się do udzielania najpierwszych nauk swym dzieciom, nim one jeszcze litery znają; owszem, nauka abecadła jest dopiero zakończeniem tego pierwszego wykładu nauk. Dziełoto więc początkowe, elementarne, lecz z tak gruntownym rozmysłem i ścisłą konsekwencią przeprowadzone, iż w tej mierze niejednemu pismu głębokiej uczoności za wzór posłużyćby mogło. Wychodząc z bardzo słusznej zasady, że »przez zbytni pospiech w zwykłem uczeniu czytania, cała praca, dla której właściwie dwa lub trzy miesiące wystarczyćby powinny, przeciąga się na dwa lub trzy lata«, rozpoczyna panna Żmichowska swój wykład kilkudziesięcią bajeczkami (str. 15—38), których się dziecko dla wykształcenia wymowy nauczyć może. Dalej następuje przeszło 80 rozmów (str. 39—163), zawie-

rających kardynalne wiadomości z historii naturalnej, fizyki, geografii, historii powszechnej, historii polskiej, ułożone tu słowami najprzystępniejszemi pojęciu dziecinnemu. Dalszym ciągiem tych rozmów są: »Czytania« (str. 169—321) w tychże samych przedmiotach co wyżej, lecz szczegółowiej a przeto też powabniej wyłożonych, mających dziecku słuchającemu tych czytań posłużyć »za pierwsze zaciekawienie, pierwszą do poźniejszej pracy przygotowującą zabawkę.« Dopiero po tym elementarnym wykładzie pierwszych nauk następuje właściwa nauka czytania (str. 325—390) z całym elementarzowym aparatem wzorów wszelkiego większego i mniejszego abecadła, zgłoskowania, kropkowania, liczb, przykładów do czytania wierszem i prozą, wreszcie nawet 12 tablic wzorowych do nauki pisania.— Jestto więc wcale nowego rodzaju praca, mająca być wstępem do obszerniejszego wykładu naszkicowanych w tym pierwszym zarysie nauk. Użyteczność podobnej pracy ocenią najlepiej matki i wychowawczynie, którym to dzieło tysiące wątpliwości, trudów a nawet kosztów ujmie. Uwzględniwszy zaś tę użyteczność, tę w całem dziele utrzymaną konsekwencię, zresztą talent i prawdziwe poświęcenie się autorki, należy wykładowi nauk panny Żmichowskiej przyznać jedno z pierwszych miejsc pomiędzy wszystkiemi tegorocznemi utworami literatury polskiej. Kto ciekaw jest drobnych, nic nieznaczących, niekiedy nawet wręcz mylnie wytkniętych usterków tej pracy, może się doczytać tego w wielce uczonej recenzii profesora Sierocińskiego w Bibliotece warszawskiej na miesiąc wrzesień.

TEATR.

Lwy i Lwice, komedia w 3 aktach, przez St. Bogusławskiego, przedstawiona 11 października. — Do różnych osobliwości naszego czasu należy i to, że jak z jednej strony mnogie zdarzają się przewinienia, których sobie nikt za grzechy nie poczytuje, tak też z drugiej strony chłoszczemy się za wady, których właściwie nie mamy. Taką zbytkową chłostą jest i obecna komedia. Autor słyszał o lwach i lwicach za granicą, widział kilka mniemanych lwic warszawskich, i myślał, że to już dostateczny przedmiot do satyry. Atoli jak nigdzie, tak też i w satyrze nie godzi się brać rzeczy powierzchownie; a prawdziwie narodowa satyra tysiące innych, głębszych przywar znaleśćby mogła, i wcale inny interesby też wzbudziła. My nasze lwice na palcach policzyć możem, a lwie ich wady: podawanie ręki mężczyznom przy powitaniu, jeżdżenie konno, palenie sygarów i t. p. to zaprawdę nie grozi jeszcze zepsuciem obyczajów. Jeśli zaś autor rzeczywiste zepsucie, rzeczywiste zdrożności, jakich i te lwice się dopuszczają, chciał karcić, tedy nie należało tych zdrożności przywiązywać wyłącznie do małej garstki osób, lecz schwycić je w ogólniejszzch typach, w powszechniejszej, a przeto nierównie skuteczniej do sumienia publicznego przemawiającej postaci. Gdy tymczasem uczepiwszy się satyrą tej wyjątkowej, ledwie widocznej garstki społeczeństwa, nie starczyło autorowi w jej charakterystycznej właściwości dostatecznego do osnucia komedii wątku, i musiał tedy tę niedostateczność obranego przez siebie typu sztukować dodatkami wcale odrębnych typów. Ztąd pomieszał autor właściwie kilka różnorodnych pojęć ze sobą, i z lwicy salonowej, z kobiety emancypowanej i z sawantki ulepił jakieś pól-twory, niby bardzo śmieszne i gorszące, a w gruncie dość niewinne i tkliwe, aby za pierwszem sentymentalnem wspomnieniem o dawnem rodzinnem pożyciu, o przykładnej śród kwiatów i ptaszków spędzonej młodości, powrócić na bitą drogę »nie-złych ludzi.« Jeszcze gorzej powiodło się autorowi malowanie lwów, o których właściwie nie wiemy, czy to głupcy, czy oszuści, czy półmędrkowie. W ogólności niejasne pojęcie przedmiotu połączyło się z partacką niepewnością rysunku. Z tego powodu przy zupełnym braku zawikłania dramatycznego, zawisłości w całej sztuce, żaden charakter ściśle nie przeprowadzony, zkarykaturowanym lwom i lwicom przeciwstawiona postać prawego człowieka dawnej daty, równie krzywa i nienaturalna. Cała budowa komedii ledwie wspomnienia warta. Rozwódka Celina (p. Aszperger), zepsuta przykładem dwoch lwic, Natalii (p. Cenerckiej) i Adeli (p. Łozińskiej), uwiedziona towarzystwem dwoch lwów, Artura (p. Szturma) i Alfreda (p. Rejmersa), zostaje przez swego ojca, pułkownika napoleońskiego (p. Rudkiewicza) opamiętana i nawrócona — otoż wszystko! Mimo tę prostotę osnowy rozpada sią komedia w mnogie ułomki. Pierwszy jest cały satyrą literackich wieczorów. Nie jesteśmy wielkiemi ich zwolennikami, lecz mniemamy, że wszystkie początki — niedołężne, nawet czasami śmieszne; a te wieczory literackie są u nas właśnie — początkami, początkami emancypacii literatury z więzów szkolnego odosobnienia. Zresztą, nawet półgłówek jak jeden z filozofujących lwów, Artur, musiał acz nie dość, przecież więcej od naszych zupełnych nieuków salonowych zakosztować nauki. Wyszydzając

więc śmieszności, okażmy wyraźnie, że istotę rzeczy cenimy; a tego w sztuce nie ma. Drugi akt nic nieznaczący, trzeci uczuciowem nawróceniem Celiny przez rubasznego ojca wcale opaczny. Jednakże przy tych wszystkich ułomnościach połyskują gdzieniegdzie prawdziwe żyłki talentu. Tymto pojedynczym promykom, jakoteż zbyt mało przez naszą publiczność doznawanej przyjemności widzenia spółczesnych, lubo wyjątkowych wzorków towarzystwa na scenie, a wreszcie, z żalem wyznać musimy — licznym brudnym dowcipom i dwuznacznikom winna sztuka swe jakie-takie powodzenie. Wszelako te szpetne koncepta są główną plamą tej komedii. Jeżeli dyrekcia im przepuszcza, tedy sami artyści pamiętać winni, że wymawiając je, ubliżają własnej godności, stawią się niżej hanswursztów. Nawykliśmy nazywać teatr szkołą obyczajności, świątynią muz! lecz głosząc tak plugawe żarty, brzmiące radośnym posykiem zadowolonej niemi tłuszczy, staje się scena karczmą, miejscem, dokąd żadna matka dzieci prowadzić nie śmie. Czyż dyrekcia na to uwagi niema?

Gra aktorów była nieco staranniejsza niż zwykle. Kobiety umiały poczęści swoje role. Osobliwie panna Cenecka grała w pierwszych aktach z humorem. Również i pan Szturm był tą razą na swojem miejscu. Wszakże w obsadzeniu reszty ról męskich dał się uczuć żywo brak pana Nowakowskiego. Jego właśnie rola pułkownika przeszła niebardzo szczęśliwie na pana Rudkiewieza, który jej podnieść nie mógł, jak też i pan Krupicki, zastępujący pana Rudkiewicza w roli starego służącego Jana, dość ważną rolę ze szczętem skarykaturował.

Tyle już o upadku naszej sceny pisano. Bez artysty do roli ojców i charakterystycznych starców, jakich z takiem mistrzowstwem grywał pan Nowakowski, bez kochanka-bohatyra i artystki do ról matek poważnych, bez których wszystkich cokolwiek znośny repertoarz jest prawie niepodobieństwem, scena nasza podnieść się żadną miarą nie może. Że zaś publiczność do tego podniesienia radaby się przyczyniła, dowiodła ona tego znacznie liczniejszem zgromadzeniem się na przedstawienie niniejszej komedii. Zamierzyłaż dyrekcia umyślnie odstręczyć sobie publiczność? I to też szczególna osobliwość!

Sz.

Fraszki gramatyczne.

Na publicznem posiedzeniu zakładu imienia Ossolińskich, dyrektor zakładu p. Kłodziński czytał etymologiczno-gramatyczną rozprawę, w której dowodził, że:

chodzić a godzić wzajem od siebie pochodzą.

Budzić znaczy z budy wstawać.

But zaś jest rodzinnem polskiem pojęciem, że mylne jest wywodzenie tego wyrazu od francuskiego *»les bottes«* gdyż w Polsce jest zimniej niż we Francii, naturalnie więc Polacy prędzej musieli zacząć chodzić w butach niż Francuzi. Zresztą o rodzimości polskiej świadczy i źródłosłowie: albowiem but to jest buda na nogę; **u** oznacza głębokość tej budy; (niektórzy piszą but przez o z kreską, bót, zapewne dla tych **o** oznaczać będzie okrągłość otworu w cholewie u buta?).

Nadgradzać jestto właściwie nad grodem kogo osadzać, jak królowie polscy zasłużonych obywateli nad grodem w nadgrodę osadzali. Wyrzucać **d** z nadgrody i mówić nagrody, jestto zacierać niebacznie źródło słowa, świadczące o głębokim rozumie naszych przodków. Szkoda tylko, iż ten wywód historyczny jest fałszem; w nagrodę bowiem nadawano starostwa, a tylko niektóre starostwa miały swe grody, były grodzkiemi. Można więc było otrzymać nagrodę bez grodu. Równie jak i nad tem maluczko zastanowić się godzi, że pojęcie nagrody i kary jest jednem z kardynalnych pojęć ludzkości i prawdopodobnie już w raju odpowiedni wyraz znalazło. Chyba że Adam był polskim starostą grodzkim w raju. Jakoż w starodawnej pieśni: »Adamie, ty boży kmieciu, ty siedzisz u Boga w wiecu« już coś o tem się napomyka.

Dalej dowiedzieliśmy się, że bród w wodzie ztąd ma swą nazwę, iż tam woda po brodę brodzącemu sięga. Przeciw temu już ani z historycznego ani z filozoficznego stanowiska nic zarzucić się nie da. Chybaby komu przyszło na myśl powiedzieć wzręcz przeciwnie: że dla tego broda nazywa się brodą, że brodzącemu przez bród woda po tę część ciała nie sięga czy tam sięga. Ale i przeciwko temu nicby zarzucić się nie dało.

Najciekawszy jest jednak wywód nazwy gród: Jestto oczywiście warowne miejsce sporządzone ku bezpiecznemu rodzeniu dla kobiet: ku rodzeniu = k'rodzeniu = g'rodzeniu = gród

i t. d.

W kilka dni poźniej wyczytaliśmy w tutejszych Rozmaitościach następny wierszyk gramatyczny, mający wyjaśnić pochodzenie tych trzech słów: mus, konieczność, potrzeba:

W ów czas, gdy ziemię jęło rodzić niebo,
Już się rodziła konieczność z Potrzebą,
I sam już Jowisz musiał bydź w potrzebie,
Kiedy ten arbuz rodził myślą w niebie.
Zanim w to dzieło usiadł na trójnogu,
Trzech końców w trójnóg było trzeba bogu.
Jakoż już naprzód trzebą w myśli wiedział,
Że przez trzy końce będzie sześcią siedział.
Wraz i tę trzebę miał już przed oczyma,
Że bez trzech środków sześciu końców niéma,
Że potąd w trzebę świder się nie wkręci,
Aż pokąd w jednéj nié ma trzeb dziewięci,
I aż te wszystkie téj siły nie mają,
Jaką ma pisklę, gdy roztrzebia jajo.

Ale to wszystko jeszcze fraszki w porównaniu z innemi utworami naszych gramatykarzy!

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.